

1 października 1975 roku, z inicjatywy jednego z najwybitniejszych skrzypków XX wieku, Yehudiego Menuhina, ustanowiony został Międzynarodowy Dzień Muzyki. Trudno o lepsze miejsce na spędzenie tego dnia, niż świątynia muzyki, jaką jest filharmonia. Warto przez chwilę pomyśleć o tym, że jest ona miejscem spotkania człowieka ze sztuką, ale i człowieka z człowiekiem, budowania wspólnoty i współodczuwania. Jeszcze niedawno brakowało nam wspólnotowego aspektu odbierania sztuki na żywo, gdy w wyniku lockdownów opustoszały sale koncertowe, teatry i opery. Świętujemy więc i słuchajmy wspólnie muzyki.

Zacznijmy od *II Koncertu fortepianowego f-moll* Fryderyka Chopina – rzecz bardzo na czasie, ponieważ już 2 października w Warszawie rozpoczyna się muzyczna olimpiada, czyli przełożony z zeszłego roku XVIII Konkurs Chopinowski. O *Koncertie f-moll*, wbrew numeracji wcześniejszym od *Koncertu e-moll*, mówiło się, że w unosi się nad nim jakaś klątwa, że nie można, wybierając go w finale, wygrać Konkursu Chopinowskiego. Faktycznie tak było – żaden z pianistów, który wybrał *Koncert f-moll* nie wygrał. Fatum zostało częściowo przełamane dopiero w 1980 roku, kiedy zwyciężył Dang Thai Son, ale nie całkowicie. Gdy w 2015 roku typowany na zwycięzcę Kanadyjczyk Charles Richard-Hamelin zdecydował się jako jedyny ze wszystkich finalistów zagrać *Koncert f-moll*, niektórzy krytycy ostrzegali, że sprawa jest przegrana. I niestety tak się stało, wygrał Seong-Jin Cho, a Hamelin musiał zadowolić się drugim miejscem. Przyznam, że całkowicie tego nie rozumiem, bo choć *Koncertowi e-moll* nie sposób odmówić uroczystego charakteru, elegancji i wyrafinowania, to przecież właśnie w *Koncertie f-moll* tak mocno wibruje struna chopinowskiego liryzmu i wrażliwości. Wszak bijącym sercem tego dzieła jest jego część powolna środkowa, czyli *largo*. Dwie pozostałe są jakby ramą dla tego poruszającego, delikatnego obrazu. O wejściu fortepianu w tym ogniwie Jarosław

Iwaszkiewicz, zresztą biograf Chopina, powiedział, że „brzmi jak otwarcie bramy do przybytku miłości i spokoju”. Ma w sobie ta część liryzm, oniryczność, senność, zamyślenie. Wszystko to, co kształtowało wyobraźnię muzyczną Chopina i co słysząc w nokturnach, co pobrzmiwa w preludiach, co odgrywa tak ważną rolę w wolnych częściach jego sonat i co wreszcie sprawiło, że starszy o ponad pół wieku Claude Debussy o Chopinie powiedział, że „był z nich wszystkich (romantycznych kompozytorów) najlepszy”. Nie bez powodu przywołuję słowa Debussy'ego, ponieważ Chopin i Debussy spotykają się na scenie Filharmonii Śląskiej.

*Preludium do Popołudnia fauna* Debussy skomponował w 1894 roku, zainspirowany poematem Stéphane Mallarmégo, jednego z tzw. poetów przeklętych, których życie wypełnione było, oprócz pisania, burzliwymi romansami i używkami. Świetny obraz tego środowiska ukazała w filmie *Całkowite zaćmienie* Agnieszka Holland, opowiadając o fascynującym, ale przerażającym życiu Artura Rimbauda i Paula Verlaine'a. *Popołudnie fauna* Mallarmégo to sporych rozmiarów poemat, w którym mityczny faun budzi się z popołudniowej drzemki i zaczyna rozmawiać z otaczającymi go nimfami. Debussy początkowo chciał napisać również sporych rozmiarów muzykę – tryptyk symfoniczny. Poprzestał jednak na około 10-minutowym preludium i tyle wystarczyło, by zapewnić nowemu prądowi w sztuce, czyli impresjonizmowi, prawdziwy klejnot. Nie ma potrzeby szukać w tym utworze dosłowności. Debussy próbował uchwycić klimat, nastrój. Leniwe, upalne, duszne popołudnie, przebudzenie, promienie słońca, jak na obrazach Moneta. Kompozytor zwrócił się po napisaniu dzieła do pisarza z pytaniem, co ten sądzi o jego dziele. Poeta podobno wcale nie był zachwycony, że ktoś napisał muzykę do jego tekstu. Miał odpowiedzieć, że w jego odczuciu on sam stworzył muzykę

w trakcie pisania. Wysłuchanie *Preludium* zmieniło jednak jego opinię i miał powiedzieć Debussy'emu „Pańska ilustracja do *Popołudnia fauna* nie dość, że nie tworzy dysonansu z moim tekstem, ale posuwa się dalej jeszcze w nostalgii i świetle, subtelnie, z obezwładniającym uczuciem i okazałością”. Debussy i Mallarmé – spotkały się więc dwa kluczowe dla losów sztuki europejskiej nazwiska, a gdy dołączył do nich Wacław Niżyński, wybitny rosyjski choreograf, który stworzył układ taneczny do tego dzieła, to wrota do nieskrępowanej wolności artystycznej XX stulecia zostały szeroko otwarte.

*Morze*, dzieło, które Debussy napisał około dziesięć lat po *Preludium* do *Popołudnia fauna* to praktyczna realizacja jego poglądu na ilustracyjność muzyki. A pogląd ten da się streścić krótko – do kosza z ilustracyjnością. W muzyce nie chodzi o to, aby flegm imitował śpiew ptaka, a bęben grzmoty. Chodzi o to, by muzyka zamiast stać się lustrem zjawiska, wniknęła w nie głęboko, oddała ducha, nastrój, klimat. Debussy stworzył więc utwór, który nie da się określić gatunkowo – ma rozmiar symfonii, ale nią nie jest. Mówi językiem muzycznym, jakiego świat wcześniej nie słyszał – oto nie ma melodyjki i akompaniamentu, są za to wielkie orkiestrowe fale, które spiętrzają się, jak na grafice z pierwszego wydania dzieła inspirowanej japońskim obrazem Hokusai'a *Wielka fala w Kanagawie*. „Muzyk ma słyszeć najdelikatniejsze dźwięki i szepty przyrody, ma ujmować w tony wrażenia, które budzi w nim życie otaczającego świata: plusk kropeł deszczu, oszałamiająca atmosfera południowej nocy, refleksy światła na wodzie” – mówił sam Debussy. Dzisiaj *Morze* to niewątpliwe arcydzieło muzyki symfonicznej, ale nie zawsze tak było postrzegane. Uśmiech politowania budzi opinia jednego z paryskich recenzentów, który nie zrozumiał, w 1905 roku po prawykonaniu dzieła, z czym ma do czynienia i pisał tak: „poprzez zniekształcone spojrzenie przez

mały koniec lornetki, *Morze* Debussy'ego sprawia wrażenie nie oceanu, ale małego basenu w paryskich ogrodach. Pomysły, które unoszą się nad tymi zestawionymi harmoniami wydają się kostiumem stworzonym dla Arlekina, a muzyka wydaje się kompletnie bez charakteru. Debussy wywraca do góry nogami wszystkie zasady harmonii, cały zestaw formuł i buduje własne reguły. Publiczność wydawała się rozczarowana. Spodziewała się oceanu, czegoś dużego, czegoś kolosalnego, a zamiast tego podano jej poruszoną wodę w spodeczku”. Jestem bardzo ciekaw, jak głośno będzie się publiczność z tej opinii śmiała po finałowych akordach.

A wykona je Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej pod batutą swojego szefa, Yaroslava Shemeta. Z kolei w *Koncertie f-moll* Fryderyka Chopina partię solową wykona Zbigniew Raubo, profesor katowickiej Akademii Muzycznej, nauczyciel wielu świetnych muzyków, solista, kameralista i jak dotąd jedyny polski laureat prestiżowego konkursu imienia Ferencza Liszta w Utrechcie.

Mateusz Ciupka („Ruch Muzyczny”)